ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 11. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 21 kwietnia 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Łucznik. Skoczylas

Dr. C. BAŃKOWSKA

O JEDNOLITĄ SZKOŁĘ POWSZECHNĄ.

Hasło szkoły powszechnej rzucone już w końcu wieku VIII-go przez Karola Wielkiego, podjęte przez Komeńskiego i Pestalozziego oraz Fizjokratów Wieku Oświecenia, a u nas przez Komisję Edukacji Narodowej, jest niestety do dziś dnia niezrealizowane. Jedynie gorące umiłowanie tej idei, przejęcie się nią lepszej cząstki społeczeństwa uzbroić może tych, którzy jasno widzą konieczność realizacji tego hasła, do walki o jedność szkoły, walki wytrwałej, ciągłej na różnych terenach: sejmu, rządu, związków, stowarzyszeń i t. p. Bo bez walki nie uzyskamy tak doniosłej reformy. Uprzywilejowana część społeczeństwa niechętnie patrzy na wzrost inteligencji, rekrutującej się zwłaszcza ze sfer „niższych", przestrzega przed „niebezpieczeństwem" zintelektualizowania się społeczeństwa, a niedość uświadomiona część nauczycielstwa szkół średnich, w obawie o zagrożone stanowisko swoje, jako nauczycieli niższych klas gimnazjalnych, przyczynia się do ugruntowania tej i innych rzekomych obaw, które przy bliższem rozpatrzeniu nie wytrzymują krytyki. Wysuwane argumenty w rodzaju, że zniesienie niższego gimnazjum obniży poziom szkoły średniej, upadają wobec podniesienia poziomu szkoły powszechnej, a brakowi nauczycielstwa odpowiednio przygotowanego, zapobiegną specjalne instytuty pedagogiczne, zakładane przy uniwersytetach i wypierające dzisiejsze seminarja nauczycielskie. Poziom nauczycielstwa, tak szkół powszechnych, jak i średnich, musi się wobec takiej reformy podnieść, wyższe kwalifikacje pociągną za sobą wyższe wynagrodzenie za pracę, a zasady demokratyczne i humanitarne, które coraz głębiej przenikają do warstw nawet uprzywilejowanych pod względem materjalnym, sprawią, że nauczyciel dawnego niższego gimnazjum nie będzie się czuł upokorzonym przez to, że stanie się nauczycielem wyższych klas szkoły powszechnej. Interes Państwa w posiadaniu większej ilości obywateli szczęśliwych, bardziej wykształconych tak pod względem wiedzy teoretycznej, jak i fachowej, jest oczywisty. Rozumieją to doskonale Niemcy, które coraz są bliższe realizacji zagadnienia szkoły „jednolitej", kładąc nacisk na jedność nauczycielstwa i administracji szkolnej wobec nowej, a tak doniosłej reformy.

Nie bądźmy krótkowidzami! Nie stwarzajmy trudności, które same przez się upadną, i jeżeli nawet w początkach reformy okaże się, że brak nauczycielstwa, niejednolitość programów i t. p. przeszkody utrudniają realizację idei jedności szkoły, bądźmy pewni, że zjawisko to będzie przejściowem. Stokrotnie wynagrodzi tę stratę tężyzna umysłowa i duchowa, jaka się ujawni przy realizacji jedności szkoły, oraz wprowadzenia nowych metod nauczania, opartych na poszanowaniu dziecka i jego swobodzie (metody laboratoryjne, system daltoński i t. p.).

Zainteresowania dziecka, jego potrzeby, *jego szczęście w dniu dzisiejszym* staną się głównym ośrodkiem i punktem wyjścia nauczania i wychowania.

Bogactwo i różnorodność uzdolnień i dyspozycyj dziecka oraz wzrost wieku i inteligencji w związku z powyższemi reformami, szczerze i gruntownie przeprowadzonemi, przekona społeczeństwo dziś oporne względem tych haseł, że jedynie umożliwienie dziecku sięgania bez przeszkód po największe zdobycze umysłu i ducha dostarczą krajowi i ludzkości całej obywateli światłych, twórczych, wnoszących do ogólnej kultury najwyższe wartości.

Z powyższego wypływają następujące wnioski: 1) Winny powstać w najbliższym czasie gimnazja wyższe, wzorowe z internatami. 2) Do gimnazjum tego oczywiście koedukacyjnego, winny być przyjmowane bez egzaminu dzieci, które ukończyły 7-o klasową szkołę powszechną. 3) Przyjmowanie dzieci winno się opierać na: a) świadectwie szkolnem, b) przeprowadzeniu badania psychotechnicznego i orzeczeniu poradni zawodowej (która może skierować dziecko do szkoły zawodowej, nie ogólnokształcącej), c) zaświadczeniu lekarskiem. 4) Gimnazjum wyższe winno się opierać na podstawach zbliżonych do założeń Ligi Nowego Wychowania, a więc obowiązywałyby tu metody laboratoryjne szerokie uwzględnienie sportów, wycieczek, zabaw oraz organizacyj szkolnych, jak to: spółdzielnie uczniowskie, samorząd i t. p. 5. System wychowawczy winien się opierać na poszanowaniu swobody i indywidualności oraz inicjatywy dziecka, gdyż jak słusznie powiada Emerson: „Tajemnicą wychowania jest poszanowanie dziecka"!

L. M.

W SPRAWIE OPIEKI NAD DZIECKIEM TRUDNEM DO PROWADZENIA.

Dziecko trudne do prowadzenia! — Ileż w tem pojęciu tkwi treści! Ile łez zatroskanej matki, udręczeń spracowanego ojca — kłopotów rodziny!

Inne dzieciaki chowają się jakoś normalnie. Czasem któreś zachoruje — potłucze się — podrze ubranie — pobije — coś spsoci. Wiadomo — dziecko. Codzienne, drobne wypadki — zazwyczaj niepostrzeżenie mijają. Dziecko normalnie rośnie — szczęście rodziny — pociecha szkoły. Prędzej czy później wchodzi w życie.

Inaczej „ono“!

Bywa, że już od kolebki jest utrapieniem. Od urodzenia nerwowe, krzykliwe. Źle się rozwija, późno zaczyna chodzić i mówić. Trudno przystosowuje się do otoczenia — nie umie współżyć. Gdzie się obróci, tam zatarg, strata lub krzywda. Niszczy, dokucza — krnąbrne, uparte, nieposłuszne, nieszczere, mściwe... Nie wzrusza go płacz nieszczęsnej matki — nie ma litości nad słabszym. W szkole ciągłe zatargi z kolegami, wychowawcami. Ustawiczne wzywania rodziców. Bezcelowe powtarzanie klas. Jakaś dziwna niechęć do *obowiązkowej pracy*, a przytem potężna żądza czynu, wyładowywania w ciągłych psotach i bijatykach. Podatne na złe wpływy—łatwo uczy się palić, oszukiwać, kraść — zawsze kłamie.

Pomimo tych jaskrawych wad — przebłyski zalet. Moc zainteresowań wartościowych, których niestety ani szkoła ani dom zaspokoić nie umie. Zazwyczaj inteligentne — dobrze orjentuje się w otoczeniu, sprytne. Ciągłe konflikty z otoczeniem wytwarzają w nim zwolna nienawiść do najbliższych. Rodzice nie bez winy — zbytnio surowi lub pobłażliwi — przykładają nieświadomie rękę do nieszczęścia własnego dziecka. Powoli tracą zupełnie wpływ — na korzyść starszych kolegów i ulicy. Ulica dalej paczy charakter — stacza niżej — niżej. A potem może kradzież, może włamanie — oszustwo — morderstwo... policja, więzienie.

Czasem „ono“ do pewnego okresu rozwija się normalnie. Jakaś choroba przebyta — nagła zmiana. Ujemny stosunek rodziców — i opisane wyżej objawy.

Często dziecko normalne demoralizuje się powoli w złem otoczeniu. Zatłoczone poddasze czy suteryna... Ojciec nędznie zarabia, może bezrobotny — w dodatku pije. W domu kłótnie, bijatyki — wrogie wzajemne stosunki. Za lada przewinienie lub za nic — spada pięść. Niema komu się poskarżyć, niema kto podeprzeć, drogę wskazać. Tragiczna szkoła życia — przemożny wpływ złego przykładu. A z drugiej strony wrażliwe — czułe — ciekawe — pochłaniające wszystko bez wyboru — dziecko!

Powyżej zaledwie kilka charakterystycznych przykładów — można ich przytoczyć bez liku.

Kroniki kryminalne codziennej prasy przynoszą coraz to nowe biografje „wykolejonych“ — uzupełniają stare. A większość czytających ze wstrętem odwraca się od „zbrodniarzy“, jakby w ich poniżeniu tkwiła wina jednostki....

Dziecko trudne do prowadzenia! — Niema tu szablonu. Może tylko nazwa wspólna — trudności wychowawcze... Niezliczona ilość przypadków, zawsze w szczegółach odmiennych — niezliczona ilość przyczyn. Trudno znaleźć typ — takie mnóstwo odmiennych cech.

Jakie zadania przed rodziną, szkołą, społeczeństwem?

Rodzice! Próby z ich strony — często nieumiejętne — nie dają rezultatów. Ujawniające się wady z początku usiłują tępić radykalnie. Niemal codzień, a nieraz kilkakroć na dzień — razy spadają na dziecko. Skutek wręcz przeciwny. Wada nie ginie. Dziecko zamyka się w sobie — nabiera sprytu — rodziców zaczyna uważać za najgorszych wrogów. Bicie w konsekwencji głębszej demoralizuje! Często przed karą dziecko ucieka z domu. Dzień, dwa, trzy — tydzień — miesiąc — lub dłużej tuła się po Warszawie, nocuje po podmiejskich śmietnikach... Wreszcie wraca samo lub sprowadzone. I znów historja się powtarza...

Nieszczęsne — unieszczęśliwia najbliższe otoczenie. Rodzice bezradni. Nie znając przyczyn, nieświadomi odpowiednich metod postępowania, narzekają na „dopust Boży“. W końcu godzą się z losem — wcale nie reagują. Z jednej ostateczności wpadają — w drugą.

Szkoła powszechna — również bezsilna. Dzieci tego typu źle się w niej czują. Przerabiany materjał ich nie interesuje — nie biorą udziału w pracy szkolnej. Nie mogąc w inny sposób wyładować swej energji — stają się ogromnie dokuczliwi — biją, niszczą, kradną... Uniemożliwiają innym normalną pracę. Nauczyciel nie może im więcej poświęcać uwagi — ma pod opieką kilkadziesiąt innych dzieci. Co najwyżej powściąga, hamuje. Ciągle ograniczane — nienawi-

dzą szkoły. Stąd ustawiczne wagarowanie — szukanie okoliczności do wyładowania się — uleganie coraz gorszym wpływom...

Jakaż więc rada, jakież wyjście? Czyż niema drogi poprawy dla tych dzieci — czy może już „z góry“ skazane są na zmarnowanie? Na szczęście tak nie jest! Nowoczesna pedagogika daje skuteczne zazwyczaj środki lecznicze. Bo dzieci te traktować należy, nie jako „złe“, „zepsute“ — raczej jak chore. Wymagają one odpowiedniego leczenia, dobrej opieki, sprzyjających warunków rozwoju.

Radosna twórczość, możliwie nieskrępowana praca, zgodna z zainteresowaniami i popędami — przy odpowiedniem oddziaływaniu wychowawczem — oto najogólniej ujęte sposoby zaradcze.

Wszystko co przymusowe, nieinteresujące — dalej demoralizuje...

Bogate doświadczenia poczynione zagranicą — nieśmiałe u nas — tchną optymizmem. Sprawozdania specjalnych zakładów wychowawczych notują liczne wypadki zupełnej poprawy.

W łagodniejszych wypadkach duże wyniki daje zmiana stosunku rodziców do dziecka. Więcej ciepła, wyrozumiałości — najmniej przymusu.

Często przeniesienie do innego środowiska — w nowe otoczenie zdala od rodziny — daje znaczne dodatnie efekty w charakterze dziecka.

Wreszcie, gdy już wszystko zawodzi — pozostają specjalne zakłady wychowawcze. Tu dziecko musi znaleźć warunki poprawy, możność wyładowania energji i zainteresowań w formie korzystnej. Wszelkie zdobycze pedagogiki, odpowiednia organizacja wychowania i nauczania w małych grupach, możliwe do zastosowania w wychowaniu środki techniczne (warsztaty, kino...), inne urządzenia (ogrody, boiska...) muszą się tu podporządkować wyższemu celowi — leczeniu wad charakteru.

Zdaje się, że dotąd nigdzie idealnego systemu nie stworzono. Jednak już istniejące liczne zakłady, choć nie zawsze odpowiadają teoretycznym wymogom — dają dobre wyniki.

Kilka zakładów o tym charakterze w Polsce (dwa w Warszawie) w trudnych, często nieodpowiednich warunkach — wykazuje dodatni bilans.

Z tych zaczątków musi się w najbliższych latach w całym kraju rozwinąć sieć zakładów wychowawczych. Muszą one być odpowiednio urządzone. Żadne usprawiedliwienia brakiem funduszów na ten cel nie wytrzymują krytyki. Oszczędności tu stosowane, to zaledwie drobny ułamek przyszłych strat.

Racjonalniej budować teraz zakłady wychowawcze — niż wkrótce nowe więzienia...

Statystyki przestępstw nieletnich są przerażające. Tysiące dzieci w Polsce (a może setki w Warszawie) każdy dzień bardziej unieszczęśliwia... Wołają one o należne im prawo do szczęścia — do normalnego życia — o leczenie! W najbliższej przyszłości będą się mścić na społeczeństwie, które nad ich losem obojętnie przechodzi!!

JANINA STRZELECKA

UŚMIECH DLA GOŚCI I UŚMIECH DLA SWOICH.

Do Kowalskich mają dziś przyjść goście. Od rana krzątanina, sprzątanie, coś pieką, coś gotują. Trochę urwanie głowy, ale zresztą jakoś weselej w domu, niż zazwyczaj. Kowalska nie burczy, nie krzyczy o byle co na dzieci, jak to bywa na porządku dziennym, nawet się dzisiaj aż dwa razy uśmiechnęła, jakby się już przygotowywała do ubrania twarzy w stały uśmiech, kiedy przyjdą goście. Wszystko jest wogóle w tym dniu inaczej. I okna nie takie brudne, i stołki wyszorowane, zniknęła jakoś nareszcie pajęczyna z nad krzywego lustra i czarne piegi po muchach z „landszaftu“ nad komodą. Zabielały czyste ręczniki i zniknęły gdzieś zabłocone buty z pod łóżek, które przyodziano w paradne kapy z fioletowemi makami. Pościągano brudne ścierki ze sznura nad kuchnią, na której ustawione garnki z bigosem i flakami każą uśmiechać się wesoło na myśl o kolacji, bo będzie zupełnie inna i o tyle lepsza, niż zawsze.

Szczęk ustawianych talerzy, czysty obrus, trochę już dziurawy, ale jakże piękny w porównaniu z okropną ceratą na codzień. I pokrajana w cienkie plasterki kiełbasa różowi się na talerzu, a nie rzucona, jak zwykle w zatłuszczonym papierze na stół, i chleb w koszyczku, i wogóle wszystko.

Kowalska ubrana odświętnie, choć nawet trochę zatroskana, żeby to jakoś wypadło jak najlepiej, ładniejsza dzisiaj i młodsza się wydaje, a dzieci wcale nie poznają matki, taką ma dobrą twarz, kiedy się uśmiecha.

Dzieci są dziś o wiele grzeczniejsze. Dlaczego?

Bo w domu niema tych krzyków i tego gniewu i tych złych wyrazów, co zawsze. Bo mama to o byle co... myśli mała Staśka. Nieraz to jej się aż ręce trzęsą i wszystko z nich leci, kiedy ją uderzy to gniewne matczyne spojrzenie.

I Stasia ciągle się boi. Czasem widzi, jak sąsiadka z parteru to i całuje swoje dzieci, i pieści, a jak nawet coś zbroją, to nie urąga na nie zaraz i nie wymyśla, tylko tak jakoś całkiem inaczej rozmawia z niemi, a poucza o tem jak być powinno. A u nas? myśli sobie Stasia, cięgiem ino hałasy, krzyki, nawet bicie...

Starsi chłopcy to już i nic sobie z tego nierobią. Odpowiadają ordynarnie matce, wykrzywiają się za jej plecami, a kiedy uderzyła raz Walka, to krzyknął, że on to dobrze zapamięta i nie daruje.

I jeszcze myśli sobie Stasia, dlaczego to obcy ludzie ci niby goście, są dla matki ci „lepsi". Dlaczego, jak ktoś przyjdzie, to matka jest uśmiechnięta i rozmawia z nimi i od ust sobie i dzieciom odejmuje, aby ich poczęstować. Choćby i to dzisiejsze przyjęcie. Na codzień to brud, zaniedbanie, wszystko byle jak i na olaboga, tak zupełnie, jakby to z tymi swoimi właśnie nie trzeba było żadnego starania, żadnej im grzeczności okazywać, a to rodzone dzieci przecież!

Jakby to inaczej było w domu, myśli mała mądrala, żeby oni ze Stefkiem i Walkiem i ojcem byli gośćmi naprzykład! Jakby to było dobrze!

Stasia wie, Stasia doskonale to czuje, że wszyscy staliby się odrazu lepsi. Chłopaki nieraz pomogliby matce, a i ojciec siedziałby więcej w domu, Stasi nie „latałyby tak ręce" ze strachu i nie bałaby się tak ciągle, i miałaby matka z niej wyrękę, a tak?

Wszystko się rozłazi, rozkręca, a w domu źle, że nie może być gorzej. Tylko te kilka razy do roku, jak się schodzą obcy ludzie — goście — matka umie się uśmiechnąć tym uśmiechem, którego tak rodzonym dzieciom żałuje, tylko te kilka razy do roku przystraja skromne mieszkanie dla obcych, tylko te kilka razy do roku ma dobre spojrzenie dla wszystkich!

Rozlega się pukanie — to już zaczynają się schodzić. Kowalska śpieszy do drzwi cała rozjaśniona radosnym uśmiechem. A mała Staśka w kącie myśli, jakby to było cudownie, gdyby matka tak ją kiedy powitała taka uśmiechnięta, kiedy wraca ze szkoły.

— No, znowuż nie tak, ale choć troszkę, choć troszkę...

Znowu pukają: izba już pełna gości, święta i odświętnych uśmiechów.

Ale jutro będzie dzień powszedni...

ZOFJA NAŁKOWSKA

DZIECI NA ŚWIECIE.

I.

W bursie jest tak: jedne dzieci nazywają się Sybiraki, a na drugie mówią znów, że to są Francuzi. Tak, jakby tam wcale nie było dzieci polskich.

Tymczasem wszystko to są dzieci polskie, a tylko przyjechały tutaj z różnych stron świata.

Więc Paweł jest Sybirak i przyjaźni się, choć już jest duży chłopiec, z młodszym od siebie Kazikiem, Francuzem. Najmłodszą z nich, delikatną Emilkę, nazywają Japonką, bo ona ze wszystkich dzieci najdłużej musiała zostać w Japonji. I to z powodu tyfusu.

Ale to trzeba opowiedzieć od początku. Inaczej nie byłoby zrozumiałe, w jaki sposób Paweł odnalazł swoją mamę i swego ojca, chociaż już każdy uważał go za sierotę.

Paweł był wtedy jeszcze zupełnie mały, kiedy się sam na sobie przekonał, jaki wielki jest świat i jak niewiele człowiek pośród świata znaczy.

Bo można być małym chłopcem, a można mieć zmartwienia poważne, jak ktoś dorosły. Można też w życiu więcej zaznać i więcej uzbierać doświadczenia, niż niejeden stary człowiek.

A tak właśnie było z Pawłem.

Paweł mógł o sobie powiedzieć, że objechał cały świat naokoło, że z niejednego pieca chleb jadał. To była najczystsza prawda. Niejedno widział i niejednego doświadczył. Gdy sobie później o tem wszystkiem pomyślał, to widział, że życie może być czasem jak bajka.

Bajki nieraz smutno się zaczynają, ale zawsze przecież muszą się skończyć dobrze. W życiu to jest trudniej.

To też nikt nie mógł przewidzieć, że i Pawłowi kiedyś wszystko na dobre się obróci.

Paweł przyjechał z Syberji nie sam naturalnie, przyjechał w całej gromadzie innych dzieci.

A skąd się tam polskie dzieci wzięły na Syberji— z tą sprawą było różnie. Jedne nie pamiętały wcale, kiedy przyjechały na Syberję, bo takie były małe.

A inne nawet się tam urodziły — w dawno na Syberji osiadłych rodzinach polskich zesłańców. A Paweł pamiętał z dzieciństwa, jak mama nieraz mówiła, że gdyby nie wojna, to niktby jej nie namówił na mieszkanie w tym dalekim, obcym kraju.

Jedne dzieci miały rodziców, a znowu inne były sierotami. A Paweł sam nawet nie wiedział, czy jest zupełnym sierotą, czy nie. Nie wiedział czy jego ojciec żyje gdzie na świecie, nie wiedział, gdzie leży pochowana matka.

Życie Pawła zaczęło się od tego, że już były złe czasy. Później czasy zrobiły się jeszcze gorsze. Wtedy ojciec wybrał się z domu, żeby szukać gdzieindziej roboty i więcej nie wrócił. Nie wiadomo było wcale, co się z nim stało. Mama posyłała w tamte strony z zapytaniem, ale już się nie znalazł. Jeżeli pomyśleć, jaka wielka jest ta Syberja, to nawet niema w tem nic dziwnego.

I wogóle szukać nie było łatwo, bo wojska przechodziły to tu, to tam. Raz ten rządził, raz drugi, a wciąż się bili.

Wtedy Paweł przeniósł się z matką do innej wsi, żeby tam mieć lepiej. Ale lepiej nie mieli. Mama się ciągle o ojca martwiła, pracowała, jak mogła — aż się nadrobiła i zawieźli ją do miasta do szpitala. A Pawła wzięła do siebie jedna dobra kobieta, sąsiadka, która miała też swojego niedużego chłopaka, Tytusa. Ale u nich to się nazywało: Tit.

Paweł już mamy więcej nie widział. Kiedy ze swoją gospodynią pojechał po paru miesiącach do miasta, szpital był zamieniony na wojskowy, nikt już nic nie pamiętał, co było przedtem. Tylko jakaś kobieta, dawna posługaczka, powiedziała, że mama umarła.

Paweł był jeszcze dzieckiem, ale rozumiał swoje nieszczęście. Było mu strasznie smutno, że mama nie żyje i że jej przed śmiercią nawet nie pożegnał. Smutno mu też było, że z powodu złych czasów nie zaznała w życiu nic, oprócz pracy i zmartwienia.

A kiedy pomyślał o ojcu, kiedy sobie wyobraził, że ojciec mógłby się teraz znaleźć, że mógłby wrócić w te strony po maminej śmierci — to było mu jeszcze smutniej.

Cóżby to było, gdyby przyszedł i już mamy nie znalazł!

Cóżby to było!

d. c. n.

Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE

CZTERY DNI W FINLANDJI.

Płynęliśmy przez zatokę Fińską w całym blasku lipcowej, skwarnej pogody. Morze było łagodne, miękkie i migotliwe, niebieskie, w jaśniejsze smugi, jak mora; żar lał się z nieba, białego od upału — i tak ujrzeliśmy brzegi Finlandji, najpierw zdaleka niebiesko-sine jakby z tego samego morza zrobione, potem zbliska — skaliste i nagie.



Helsingfors. Dworzec.

Helsingfors wyrastał z wody, ciężki i granitowy.

— Będziecie mieli całkiem fałszywe pojęcie o Finlandji — mówili nam ci, co czekali na nas na brzegu w upale i skwarze, i prowadzili nas przez miasto, dusznemi, rozpalonemi ulicami, w nieruchomem, gorącem powietrzu.

Mówiąc tak, już je prostowali, to nasze fałszywe pojęcie. I jeszcze potem, gdy opowiadali nam, że tak gorąco zrobiło się dopiero po Św. Janie, a przedtem było zimno, że gdy lody zeszły i trawniki wyjrzały z pod śniegu, trawa była szczerniała i zrudziała, i wcale nie chciała się zazielenić długo, długo. Aż dopiero jednego, jedynego dnia wszystkie liście rozwinęły się na drzewach, i odrazu bez żadnego przejścia, bez żadnego przygotowania — zrobiło się lato, śliczne, kwitnące, bujne, pełne blasku, błękitu, złota, zieleni, kwiatów. Och, nie potrwa długo: ledwie jakieś sześć czy ośm tygodni! Trzeba je wykorzystać docna, ani chwili nie zmarnować, chodzić, wędrować, spacerować dniami i nocami, kiedy lekki wieczorny zmierzch sty-



Muzeum narodowe w Helsingforsie.

ka się bezpośrednio ze świtem, i na prawdziwą, zwyczajną noc niema wcale ani miejsca, ani czasu!

I pomimo wszystkie te wieści o białej pustyni, w jaką zamieni się Finlandja, gdy morze zamarznie jesienią, pomimo te wieści o wiecznej zimnej mgle, mrozach, wiatrach, futrach, wełnianych koszulkach, wczesnych zmierzchach i późnych rankach — Finlandja zostanie mi w pamięci taka, jaką widziałam w szczęśliwe dni północnego lata: upalna, zielona, zalana słońcem, z migotliwem ciepłem morzem i wszystkiemi kwiatami, naraz kwitnącemi.

Helsingfors jest wielki i ciężki. Gmachy ogromne granitowe, jakby z jednego bloku wyciosane, ulice przestronne, idące zgóry nadół i zdołu wgórę. Robi wrażenie, że jest dużo miejsca, i dużo powietrza, i dużo czasu — zupełne przeciwieństwo do Warszawy, stłoczone, śpieszącej się i rozpychającej.

Miasto wybudowane na skale — i tak dziwnie, jakby nie pokrywało skalnej skorupy, na której stoi; skała pierwotna, naga, uwarstwiona przeziera tu i owdzie, między jednym a drugim gmachem, tuż przy ruchliwej ulicy sterczy wysoko spiętrzona, wygląda zdaleka jak pomnik, a zbliska widzi się ją, jako dziki i nagi skalny złom przy wielkomiejskim gmachu, jakby to było szczere pole, a nie środek miasta!

I jeszcze te naiwne, żółte, miłe rozchodniki, takie, z jakich u nas robią wianuszki na Boże Ciało, kępkami rosnące na tych skałach!

Tak widzę to miasto: wielkie, ciężkie, granitowe, szare gmachy, polne róże kwitnące na skwerach, wyzierające z pod powłoki miasta dzikie skały i żółte rozchodniki — a wszystko w pełnym rozkwicie lata.

Wyjeżdżamy za miasto doskonałą twardą szosą, w szczerą wieś: zielone łąki, cudownie pachnące siano, pastwiska, laski, wąskie pasy ślicznych traw i koniczyn, nieliczne liche żyta, owsy i ziemniaki, bardzo spóźnione w rozwoju w stosunku do naszych. Cała troska ludzi i roślin: wykorzystać krótkie lato! zdążyć, zdążyć ze wszystkiem przed nadejściem złej, północnej zimy! Rolnicy wytwarzają, sprowadzają, aklimatyzują jak najwcześniejsze odmiany, rośliny rosną przez upalne dni i jasne noce, bujają, kwitną, owocują, śpieszą się, śpieszą, zalewają bogactwem prześlicznej zieleni, barw, zapachów! Zwłaszcza te trawy, koniczyny, łąki, bo przecież hodowla bydła — to podstawa bogactwa tego kraju; a masło, ser fiński (podobny do szwajcarskiego) to, poza drzewem i jego przerobami, główny produkt eksportu.

Na zielonych pastwiskach pasą się stada fińskich bezrogich krów. Całe stado wyprowadza rano jedna niewielka dziewczynka, bez pomocy psa ani nawet kija. Mówi do nich głosem donośnym i łagodnym, spokojnie i pieszczotliwie, jak do dzieci. Wszystkie bezrogie łby zwracają się w jej stronę. Dają się wydoić w południe na okólniku, stoją spokojnie, nieuwiązane, dopiero na wieczór wrócą do obory, przez nikogo nie pędzone, na głos dziewczynki. Obora mieści się na dole, w dużym budynku, a nad nią stodoła, do której wiedzie pochyły pomost. A wszystko razem, i obora, i stajnia, i dom gospodarza — brunatno-czerwone. I deski, i belki, i gonty nasycone są farbą.

Dziwna rzecz: oko tak prędko się z tem oswaja, że wydaje się, jakby tak właśnie było dobrze, jakby domy powinny być czerwono-brunatne, a nie białe.

Nasze auto pędzi po drogach krętych i ślicznych; ciągle to samo: czerwone domki w zieleni, laski, wąskie łany traw, stada krów, czasem jezioro szeroko rozlane, ciemna skała, trochę żyta, trochę owsa. Ludzi bardzo mało: zrzadka wózek dwukolny, ciągniony przez doskonale utrzymanego, wielkiego, ciężkiego konia. Woźnica bez bata! Nie krzyczy i nie klnie. I wogóle nikt nie krzyczy i nikt nie klnie. Ludzie są cisi, spokojni i małomówni. Ci spotykani na drogach, bardzo zresztą nieliczni, wcale się nami nie interesują. Nie są ciekawi ani pochopni do znajomości. Niełatwo się z nimi dogadać: nie szybko reagują i nie są domyślni. Są uczciwi i prawdomówni.



Okolice Helsingforsu.



Wieś fińska.

Szkiery — to drobne wysepki, któremi usiane jest morze; niektóre malutkie, chropawe, szare, bez jednego źdźbła trawy, wynurzają się z niebieskiej wody, jak grzbiety jakichś morskich potwornych zwierząt; inne trochę większe, miejscami porosłe lasem świerkowym, smutnym i czarnym, i jeszcze większe, całe lasem pokryte, wyglądają jak las wyrastający z morza.

Te przeróżne ugrupowania trzech elementów — skały, wody i lasu — w jaskrawem, ponurem świetle późnego letniego zachodu słońca czy też w matowej, nieruchomej jasności białej nocy — pozostaje jako najistotniejsze wspomnienie o dobrym i cichym kraju.

Helena Boguszewska.

Takie mam wrażenie po tym tak krótkim pobycie. Tak też mówią i ci, co mieszkają tu długo. Przecież, na miłość Boską, niektóre fakty mówią same za siebie: woźnica bez bata, pastuszka bez kija, oboje bez przekleństw, zagroda bez złego psa-stróża! Czyż nie?

Gdyby nie to wszystko — takie nie nasze — gdyby nie te czerwone domki i bezrogie krowy, to może możnaby myśleć w wędrówce po wsi finlandzkiej, że to jeszcze Polska, bo te jeziora szeroko rozlane z trzciną u brzegów, te koniczyny trochę może przypominają nasz pejzaż! Ale nazajutrz jedziemy na morze na wyspy. Szkiery.



Wybrzeże morskie w Finlandji.

List Opiekuna Głównego Szkoły Nr. 19.

Szanowna Redakcjo!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie mych kilku uwag, dotyczących działalności Opiek Szkolnych. Często bardzo spotykamy się ze zdaniami „w naszej szkole niema ludzi chętnych do pracy społecznej“ lub „nie możemy pogodzić się z kierownictwem i dlatego nic się nie robi“. Jak w pierwszym tak i w drugim wypadku, główna wina jest w tem, że Opiekun Główny jest za mało energiczny, a zrażając się każdem niepowodzeniem, traci ufność w samego siebie. Mojem zdaniem, każdy z opiekunów, obejmujący to stanowisko, powinien być przygotowany na najgorsze, a wówczas praca pójdzie mu zupełnie łatwo. Jeżeli jednak sam skład opieki dobrał się tak niefortunnie, że każdy z kandydatów przyjął swój mandat — i tu koniec jego działalności, wtenczas Opiekun Główny powinien na zebraniach rodzicielskich dobrać sobie innych opiekunów, chętnych do pracy i działalność swą poprowadzić innemi torami. Natomiast co się tyczy kierownictwa, są to nieporozumienia tak małoważne, i nieraz niczem nieuzasadnione, że w 99 wypadkach trzeba przyjść do porządku dziennego, bo jak jedna tak i druga strona ma jeden cel, t. j. dobro szkoły i dzieci, tylko różnica jest w tem, że nie wszyscy jedną drogą do tego celu dążą.

W szkole Nr. 19 przy ul. Chłodnej 11, gdzie kierowniczką jest p. Drymerówna, pracuję w opiece od 9-ciu lat, a ta łączność jaka wywiązała się między kierownictwem, Opieką, a rodzicami jest czemś więcej niż serdecznym stosunkiem. Proszę ocenić rezultaty wspólnej pracy, które podaję niżej.

Od roku 1919 prowadzimy dożywianie dzieci najuboższych kosztem opieki, których przeciętnie było do

30-tu. Obecnie działalność tę rozszerzyliśmy i od 4-ch lat prowadzimy masowe dożywianie dzieci przez Komisję Główną Opiek Szkolnych. A co znaczy dla dziecka ten kubek gorącego mleka i bułka, w szczególności w zimie, gdzie często bardzo dziecko idzie do szkoły bez gorącej strawy, to ten może ocenić, kto się choć trochę z tem zetknął.

Wydawaniem mleka zajmują się same matki, urządzając dyżury tygodniowe, t. j. w ciągu tygodnia przychodzą dwie matki na godzinę przed dużą pauzą, naszykują garnki i porozlewają mleko, tak, że dzieci, idąc na dużą pauzę, mają wszystko przygotowane. Po wypiciu matki również sprzątają. Na drugi tydzień przychodzą inne.

Następnie, rok rocznie staraniem opieki wysyłamy do 15 dziewczynek na kolonje letnie. Zaopatrywaliśmy w obuwie, ciepłą odzież, książki, zeszyty te uczenice, którym ta pomoc była konieczną. Własnemi siłami założyliśmy bibljotekę szkolną, która dziś liczy przeszło 600 tomów. Kupiliśmy maszynę do szycia, pianino, sztandar, lampę do przezroczy, przezrocza do historji, urządziliśmy pracownię introligatorską i cały szereg innych pomocy naukowych.

Na uczczenie obchodu 10-lecia niepodległości Polski walne zebranie rodziców postanowiło zakupić łóżeczko w Lidze Szk. Przeciwgruźliczej, ubrać salę obrazami, reprodukcjami polskich malarzy, treści historycznej i naukowej, urządzić stypendjum im. 19-ej szkoły w sumie zł. 300 rocznie dla najzdolniejszej dziewczynki.

Po wspólnem porozumieniu się ze szkołami w tymże gmachu, urządziliśmy wspólną scenę, gabinet fizyczny, którego koszt sięga kilku tysięcy złotych i kupiliśmy lampę kwarcową do naświetlań.

Nasuwa się pytanie „skąd opieka bierze pieniądze na pokrycie tych wydatków?“ — odpowiem: od rodziców! Może ktoś odpowie, że wyjątkowo w tej szkole rodzice są zamożni, a ja twiedzę, że tak jest tu, jak w każdej innej. Społeczeństwo polskie jest bardzo ofiarne; byleby tylko wiedziało, że grosz przez nie złożony nie pójdzie na marne, ale produkcyjnie zostanie zużyty i ma na to dowody, że tak jest, to wtenczas nigdy nie odmówi swej pomocy.

Dzięki p. kierowniczce Drymerowej i jej zasadom, każdy grosz otrzymany i wydany musi mieć swój dowód, każdy grosz przy wydaniu musi być rozważony, czy w ten, czy inny sposób jest lepiej go zużytkować. Formalności te odbywają się u nas w ten sposób, że skarbnik zbiera składki i prowadzi rachunki ze strony rodziców, zaś p. Domosławska te same rachunki prowadzi ze strony nauczycielstwa, natomiast p. Kierowniczka kontroluje te rachunki tak ze strony rodziców, jak i nauczycielstwa czy się zgadzają. I tak prowadzona wspólna kontrola daje pewność, że rachunki są w porządku.

Walne zebranie rodziców uchwaliło opodatkować się do wysokości zł. 10 rocznie na ogólną sumę dzieci 300, przy czem musimy uwzględnić, że nie wszyscy płacą te składki (bezrobotni, wdowy, sieroty zakładowe i t. p.) tak, że ogólna ilość opłacających składki nie przekracza dwustu. Ze źródła tego otrzymujemy około zł. 2.000. Pozostałe braki pokrywamy imprezami, jak: przedstawienia, loterje fantowe, zabawy dziecinne i t. d. I twierdzę, że czem jest więcej potrzeb, tem więcej jest czynu, więcej energji. Jeden drugiego pobudza do pracy tak miłej i tak pożytecznej.

Na zakończenie sprawozdania muszę zwrócić jedną uwagę opiekom szkolnym, a mianowicie, by baczną zwaracali uwagę przy dawaniu pomocy materjalnej i odróżniali ludzi niesumiennych od prawdziwie potrzebujących. Bo z powodu wyzysku tych niesumiennych, wiele osób zasługujących na pomoc społeczną, jest narażonych na rozmaite wywiady, sprawdzania, które nie są wcale przyjemne zwłaszcza dla ludzi uczciwych.

żeby me słowa nie były jakąś tylko gołosłowną krytyką, pozwolę sobie przedstawić taki obrazek:

Dwie siostry chodzą do naszej szkoły. Zwróciło naszą uwagę to, że chodzą lekko ubrane. Po sprawdzeniu przez opiekuna klasowego, okazała się konieczna pomoc. I kiedy daliśmy 2 swetry i 2 pary butów, wtenczas na drugi dzień zgłosza się ojciec, przynosi 1 parę butów i mówi, że jedna z nich ma jeszcze dobre buciki, a więc może się znajdzie inna, bardziej potrzebująca, on natomiast ma nadzieję otrzymania pracy i nie będzie potrzebował pomocy. Tak — to jest czyn szlachetny i taki człowiek jest godny pomocy.

Obrazek drugi:

Dziecko nie przychodzi do szkoły. Wezwana matka mówi: „proszę pani, ukradli córce palto, niema w czem przychodzić do szkoły“. Po sprawdzeniu okazuje się, że palto było sprzedane na urządzenie libacji.

Zachodzi pytanie: „jak w danym wypadku postąpić?“ Dać palto — to popierać nieuczciwość, uczyć żebractwa — ktoś powie, że nieszanujemy grosza publicznego! Nie dać — no tak, ale co winno jest dziecko, żeby mu naukę przerywać i pozwalać, by marzło?

Rozwiązaliśmy to w ten sposób, że wezwaliśmy rodziców i powiedzieliśmy, że damy dziecku palto, z zastrzeżeniem, że o ile ono zginie, rodzice będą odpowiadać jako za przywłaszczenie sobie palta szkolnego, do czasu dopóki go nie wypłacą.

Z powyższych tych obrazków widzimy, że ta kontrola jest potrzebna i powinna być przestrzegana, o ile nie chcemy poderwać sobie zaufania społeczeństwa.

Śmiem przypuszczać, że inne opieki nie pozostaną w tyle i również pośpieszą podzielić się z nami swemi uwagami i obrazem swej działalności, a wiem, że takich opiek jest dużo, które mogą poszczycić się swą pracą.

Opiekun główny Szkoły Nr. 19 *A. Jezierski*

HELENA DEHNELOWA

O POPISIE DZIECI ZE SZKOŁY 121.

Różne są zdania o popisach dzieci. Jedni są gorącymi zwolennikami takich popisów, drudzy upatrują w nich drogę do kultywowania próżności i „przewracania dziecku w głowie“.

Nie należę do tych srogich krytyków, bo jestem zdania, że prawdziwa sztuka uszlachetnia wrażliwe serca dziecięce i odrywa od poziomu, często bardzo ciężkiego życia.. żeby jednak osiągnąć pożądany cel, popisy dzieci muszą stać na wysokim poziomie artystycznym. Nie można organizować przedstawień i popisów tych „byle jak“, bo to „dla dzieci“. Podkreślić należy przytem jeszcze jeden moment pedagogiczny. Często do popisów bierze się dzieci nie najzdolniejsze, lecz takie, co to „nie wypada“ nie wziąć. Taki mały artysta lub artystka często sepleni i jąka się, wygłaszając swoją rolę, lecz wystrojona w pyszną kokardę i ładną sukienkę, dogadza próżności rodziców... A tymczasem małym widzom dzieje się podwójna krzywda, bo z pięknego wiersza robi się karykaturę, a w duszach małych „obywateli“ zostaje gorycz, bo oni doskonale wiedzą, że „Maniusia“ ma protekcję.

O popisach dzieci i roli, jaką one odgrywają w zespoleniu się młodzieży ze szkołą, można niejedno powiedzieć. Ograniczam się tutaj do kilku uwag, które mi się nasunęły z powodu popisu dzieci ze szkoły 121 w dniu 23.III w sali kina „Mewa“.

Na prawdziwie szczęśliwy pomysł wpadła kierowniczka szkoły p. Czesława Freudensonówna inscenizując bardzo umiejętnie „Starą Baśń“ Kraszewskiego i opatrując ją koniecznym słowem wstępnem. Do współpracy z nią stanęła była uczenica tejże szkoły (dziś zdolna słuchaczka szkoły dramatycznej p. Hryniewieckiej) p. Blanka Kutnerówna, obejmując reżyserję sztuki.

Przed oczami widzów przesuwają się obrazy, ilustrujące zamierzchłe dzieje Polski: chata starego Wisza, jego rodzina w prymitywnych strojach z płótna, przybycie przekupnia Niemca z jego zdradzieckiemi świecidełkami, za które wymienia polskie skóry i miód... butny Smerda, sługa okrutnego Popiela i inne.

Śliczną jest w II obrazie pieśń starego ślepca, którą śpiewa jedna z uczenic (odpowiednio ucharakteryzowana) pod akompanjament fortepianu. Piękną i doskonale wyreżyserowaną jest scena złowieszczej wróżby przez natchnioną córkę-wieszczkę starego Wisza, złemu Popielowi. Dobrą też jest scena „Postrzyżyn“, według starego obyczaju i „Obiór Piasta“, przy ilustracji muzycznej historycznego śpiewu Niemcewicza. Z wielką starannością oddana też narada przedstawicieli „starego prawa“ przeciwko kneziowi...

Dużo pracy musiały włożyć organizatorki tego popisu, żeby nauczyć dzieci piękną polszczyzną z umiarem i zrozumieniem oddawać sceny z naszych starych dziejów! Trud wychowawczyń nie poszedł na marne: dziatwa i dorośli z prawdziwem przejęciem się przyglądali się pięknym obrazom z naszej przeszłości.

P. Freudensonówna ma zamiar inscenizować dalsze dzieje Polski — myśl nowa i zasługująca na poparcie.

Muszę zaznaczyć, że piękne dzieło p. Freudensonówny psuły biedne peruczki i niedokładności w dekoracjach i kostjumach młodych artystów, co się da łatwo poprawić. Mała i ciemna scenka w kinie „Mewa“ też nie przyczynia się do uwypuklenia ładnych obrazów.

Pożądanem byłoby, żeby podobne artystyczne popisy warszawskich dzieci jak „Stara Baśń“ znalazły się na wystawie krajowej w Poznaniu w sekcji „sztuki teatralnej w szkole“.

NADESŁANE.

SZKOŁA, KTÓRA PRZYCHODZI DO DOMU.

Taką szkołą, która przychodzi do ucznia do domu — jest współczesna szkoła — szkoła korespondencyjna.

Jedna z pierwszych organizacyj spółdzielczych — Związek Spółdzielni Spoż. Rz. P. — zorganizowała i od trzech lat prowadzi szkołę korespondencyjną p. n. „Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne“, Warszawa, ul. Grażyny 13, skrz. p. 38.

Niewątpliwie współcześnie najdogodniejszą formą kształcenia się i dokształcania jest szkoła prowa-

dzona drogą korespondencyjną, szczególnie wtedy, gdy dana osoba z tych czy innych powodów nie może korzystać z normalnej szkoły ustnej.

System pracy w tej szkole polega na jak najmniejszem skrępowaniu ucznia co do czasu i zakresu pracy. We wszystkiem jest dowolność, a zarazem systematyczność.

Uczestnik Sp. Kursów Kor. dostaje wykład w maszynowej odbitce, najczęściej jako uzupełnienie lub omówienie materjału zawartego w podręczniku. W miarę potrzeby może ten wykład kilkakrotnie przeczytać, przerabiając ćwiczenia lub odpowiadając na pytania, które następnie wysyła do sprawdzenia wykładowcy. W ten sposób uczestnik ma całkowity sprawdzian, czy daną kwestję należycie zrozumiał i opracował. W szkole korespondencyjnej w dowolnej chwili i w dowolnej ilości czasu pracujemy nad zadaniem.

Spółdz. Kursy Kor. w programie nauczania przewidują 3 grupy: 1-sza dla sklepowych, 2-ga dla buchalterów i pracowników biurowych, 3-cia dla kierowników spółdzielni. Osoby, które pragną otrzymać świadectwa kwalifikacyjne, w dowolnym czasie przerabiają przedmioty, objęte programem danej grupy.

Trzeci rok istnienia Sp. Kursów Kor. utwierdził nas w przekonaniu, iż jest to szkoła konieczna. Coraz zwiększająca się ilość uczestników jest tego dowodem.

Jeszcze i teraz (właściwie w każdej chwili) można rozpocząć naukę na Kursach Korespondencyjnych. Uczestnik zgłaszający się obecnie również rozpocznie naukę od początku t. j. otrzyma materjał do przerobienia od pierwszego wykładu. III-ci okres roku szkolnego (trymestr) rozpoczyna się 15 kwietnia r. b., jak nigdzie w innej uczelni z odpowiednim terminem rozpoczęcia nauki na Spółdz. Kursach Korespondencyjnych (Warszawa, ul. Grażyny 13, skrz. p. 38). Na żądanie Sekretarjat Kursów wysyła szczegółowy program Kursów oraz informacje.

Z TEATRÓW.

Teatr Polski: „*Samuel Zborowski*“, dramat Ferdynanda Goetla, nagrodzony na konkursie krakowskim. Dekoracje i kosjumy K. Frycza. Reżyserja L. Schillera. Ilustracja muzyczna J. Makłakiewicza.

Postać Samuela Zborowskiego, jego barwne awanturnicze życie, zakończone tragiczną śmiercią, zwracało i wciąż zwraca na siebie uwagę pisarzy polskich. Pomijając pisarzy pomniejszych, nieliczący się z nikim magnat, najjaskrawsze wcielenie sobiepańskości szlachty polskiej, później banita i straceniec, rozpalał wyobraźnię pisarzy tej miary, co Słowacki, H. Rzewuski, Kraszewski, Żeromski, Wyspiański. Historji zatargu Samuela Zborowskiego z prawem stanowionym przez króla Stefana Batorego wszyscy ci pisarze skłonni byli przypisywać głębsze, istotniejsze znaczenie.

I słusznie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że okres panowania Stefana Batorego, jego wysiłek wzmocnienia władzy wykonawczej, a przez to mocarstwowego stanowiska Polski i leżąca w zasięgu tego wysiłku walka z możnym rodem Zborowskich, był momentem walki o zasady wewnętrznej polityki państwowej. Nie ulega wątpliwości, że Batory, tracąc Samuela Zborowskiego, nie z nim tylko podejmował walkę, ale że podpisując na niego wyrok godził w to, co przez wieki narosło w duszy polskiej.

Z tej świadomości rodziło się pytanie, czy Samuel Zborowski był wcieleniem bezsprzecznie tylko ujemnych rysów duszy narodowej, czy w jego buncie przeciwko królowi i Zamojskiemu nie było twórczych, wartościowych pierwiastków. Pytanie zasadnicze, dotyczące już nie samej postaci Samuela Zborowskiego, ale ustroju wewnętrznego Polski, podstaw narodowej myśli politycznej.

Dramat wybitnego współczesnego powieściopisarza F. Goetla czyni to pytanie aktualnem. Goetel stawia pytanie, ale go nie rozstrzyga. Widoczną sympatję do Samuela Zborowskiego równoważy równie widocznem uwielbieniem dla króla Stefana Batorego.

Narzuca Goetel duszy widza, mocą wizji artystycznej, zawartej w dramacie, to niepokojące pytanie, zmusza do wejrzenia w głąb przeżyć autora i w tym sensie posiada głęboką wartość ideową.

Poza wartością ideową ma dramat niezaprzeczenie wysoką wartość estetyczną. Całość rozpada się na 8 odsłon o nierównej wartości artystycznej i nie dość konsekwentnej ciągłości. Żywa jednak i barwna wizja przeszłości, oparta o wieczny materjał historyczny, budzi silne wrażenie.

Wrażenie sztuki jest tem silniejsze, że Teatr Polski dał jej doskonałą obsadę. Jerzy Leszczyński w trudnej roli Samuela potrafił, zgodnie z intencją autora, zdobyć dla potępionego przez historję sympatję widza, w tym samym stopniu w jakim zdołał obudzić uwielbienie dla króla znakomity artysta Junosza-Stępowski w epizodycznej roli Stefana Batorego. Gra całego zespołu, staranna reżyserja, bogata, a jednak pełna umiaru artystycznego, dekoracja i ilustracja muzyczna — podnoszą wartość estetyczną widowiska.

W.

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Dzienniki doniosły nam, że trzej uczestnicy wyprawy do bieguna południowego, zorganizowanej przez kapitana Byrda, Bernt Bolchen — pilot, Harry Gould — geolog, i Harold June, radjowiec, byliby śmiercią okupili swój podbiegunowy lot na samolocie. Owen Roussel w radjokorespondencji komunikuje, że trzej wymienieni towarzysze wznieśli się na aeroplanie i odlecieli w kierunku gór Rochfellera. Do 14 marca, do godziny 14 m. 30 pozostali porozumiewali się z samolotem przy pomocy radja. Od tego czasu wszelki kontakt zaginął. Zdawało się, że to może chwilowa niedokładność stacji czy aparatu, ale gdy brak wiadomości przeciągał się, zaczął wszystkich ogarniać niepokoj, wzrastający z każdą chwilą, który potęgował się jeszcze, gdy rozpętała się straszliwa burza śnieżna, z kótrą niemożliwe byłoby walczyć. Zaczęto wysyłać ekspedycje ratunkowe jedna za drugą i robić przypuszczenie, że lotnicy mogli wylądować w okolicy gór Rochefellera, ale wtedy nie było wątpliwości, że aparat, uległby zniszczeniu i powrót do punktu wyjścia byłby uniemożliwiony. Taka sytuacja także groziła śmiercią, gdyż lotnicy mieli zapasów zaledwie na kilka dni. Dopiero trzecia ekspedycja pod przewodnictwem kap. Byrda odnalazła zagubionych towarzyszy. Okazało się, że aparat przy lądowaniu na lodowcach roztrzaskał się i że ocalona załoga próbowała marszu w kierunku „Małej Ameryki" — lądu na Antarktydzie, przyłączonego do Ameryki.

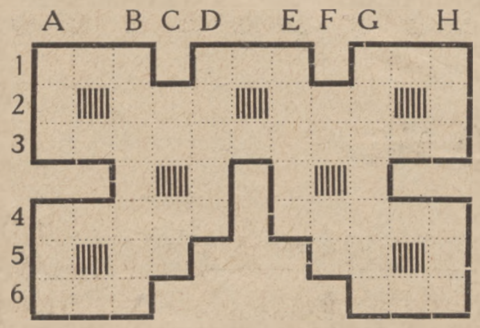
Urzeczywistnienie projektu dotarcia pieszo do reszty towarzyszy groziło zasypaniem śmiałków przez śnieg.

Wyprawa do bieguna północnego na łodzi podwodnej. Dzienniki wiedeńskie przynoszą wiadomość z Nowego Yorku, że badacze podbiegunowi Wilkins i George Palmer zamierzają dotrzeć do bieguna północnego na łodzi podwodnej. Łódź ta wyjedzie w czerwcu do Spitzbergu (wyspy na północnym oceanie lodowatym), a stamtąd w lipcu do Point Barrow odległej o 2000 mil. Załoga łodzi składać się będzie z 10 osób. Podróż ze Spitzbergu do Point Barrow potrwa około 30 dni

L. Barańska.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. KRZYŻÓWKA Uł. p. A. Czyżewski.



Znaczenie wyrazów.

Poziome. 1A. Utwór Kiplinga. 1D. Plant. 1G. Rodzaj powozu. 2B. Gatunek piwa. 2E. Papuga. 3A. Słowo tajemne (fon.) 4A. Rzeka w Rumunji. 4E. Strona inaczej. 5B. Spółgłoska (wspak) 5F. Nuta. 6A. Pisarz żydowski. 6G. Miasto fenickie.

Pionowe. A1. Lód. A4. Miasto w stan. Focydzie. B1. Imię męskie. C2. Nuta. C4. Spółgłoska. D1. Imię żeńskie. F1. Postać z „Syzyfowych Prac" F2. Bożek egipski. F4. Miara ziemi. G1. Lokal rozrywkowy. H1. Wąż. H4. Miara ziemi.

Nr. 2. ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA
ul. p. A. Janas.

B	R	O	D	Z	I	Ń	S	K	I
D	A	N	I	Ł	O	W	S	K	I
D	Y	G	A	S	I	Ń	S	K	I
K	A	S	P	R	O	W	I	C	Z
K	O	N	O	P	N	I	C	K	A
K	R	A	S	Z	E	W	S	K	I
M	I	C	K	I	E	W	I	C	Z
S	O	S	N	K	O	W	S	K	I
S	Z	A	N	I	A	W	S	K	I
W	A	S	Y	L	E	W	S	K	I

Nazwiska pisarzy polskich poprzestawiać tak, aby litery czytane ukośnie dały nazwisko poety polskiego.

Za trafne rozwiązanie obydwóch zadań nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe" przeznacza Redakcja w drodze losowania książki.

Rozwiązanie zadań z Nr. 7:

Nr 1. LUGOGRYF

H	A	R	A	P
E	P	I	K	A
R	A	D	O	M
B	A	L	O	N
E	F	E	K	T
R	O	B	A	K
T	R	A	K	T
H	O	N	O	R
O	B	A	W	A
O	R	A	W	A
V	A	C	A	T
E	L	I	T	A
R	U	M	A	K

Nr. 2.
KWADRAT MAGICZNY

B	A	R	A	K
A	R	E	N	A
R	E	S	O	R
A	N	O	D	A
K	A	R	A	T

Trafne rozwjązania nadesłali pp. Bondorowski Jerzy w/m. Chłopek Tadeusz w/m. Jarmulski Saturnin. Modlin. Kozłowski Czesław w/m. inż. Landau Jan w/m. Niemyski Bolesław w/m. Piniewski Czesław w/m. Rosen Marceli w/m. Rychowiecki Zenobjusz w/m. Siemieńska Halina w/m. Stańczak Zdzisław w/m. Tietz Zygmunt w/m. Tyblewski Jerzy w/m.

Nagrody wylosowali:

1. p. Czyżewski Aleksander w/m. 2. p. inż. Landau Jan w/m. 3. p. Niemyski Bolesław w/m.

Nagrody rozsyłamy

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Tel. 293-47